

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

TOM II

NR. 26

WARSZAWA, 9 MARCA 1936 ROKU



CIEKAWÉ KSIĄŻKI



Witam cię kartek szelestem,
tytułem na pierwszej stronie,
witam!

Bo poto przecież jestem,
żebyś mnie ujął w dłonie
i czytał.

Kiedy jesz obiad — na zdrowie!
Gdy chcesz się bawić — baw się!
Ja ci nie bronie!
Ale gdy chcesz mieć opowieść
o wszystkim, co najciekawsze —
ja ci się skłonie!

Kiedy ci smutno będzie,
kiedyś samotny, chory,
bez przyjaciela —
ja z tobą pójdę wszędzie
poprzez zimowe wieczory
w kraje wesela.

Będziesz wraz ze mną oglądać
baśnie i cuda i dziwy
na końcu świata.
Po niebie, po morzach i lądach,
jako te ptaki szczęśliwe,
będziemy latać.

Nigdy ci się nie znudzi!
Wędrowki po każdej kartce
nie są tak straszne.
Przypadki innych ludzi,
są przecież nie mniej warte,
niż twoje własne.

Ja cię bez trudu nauczę
tego, co przydać się może
choćby po latach paru.
Ja tobie słowem, jak kluczem,
w cudowny sposób otworzę
pałace czarów.

E. Sz.

C Z Y T A J M Y

W r. 1455 Jan Gutenberg, wynalazca druku, wydał pierwszą drukowaną książkę. Być może, że gdyby nie jego cudowny wynalazek, nie czytaliśmy tego właśnie „Płomyka”, ani nie znalibyśmy tylu pięknych książek. Może mnisi klasztorni biedziliby się dotychczas nad ręcznym przepisywaniem książek. Przez całe swoje życie przepisywał mnich jedną książkę, która albo pozostawała w bibliotece klasztornej, albo za bardzo wysoką cenę zostawała sprzedana jakiemuś możnowładcy. Z chwilą wynalezienia druku książka stała się osiągalną dla każdego przeciętnie zamożnego człowieka. Dawniej mieli do-

stęp do książek tylko możni i tylko oni kształcili się i posiadali wiedzę. Dziś, kiedy sztuka drukarska stoi u szczytu swego rozwoju, książka jest tania. Może ją posiadać lub wypożyczyć każdy. Książka trafia teraz wszędzie i stała się nieodzowną w życiu wszystkich ucywilizowanych społeczeństw. Dzięki wynalezieniu druku mamy tanią książkę, a dzięki taniej książce doszliśmy do obecnego stopnia cywilizacji. Tysiące i miliony ludzi uczą się z książek; dowiadują się z nich o budowie ziemi, poznają historię tak swego narodu, jak i innych, uczą się geografii kraju, w którym mieszkają i całej kuli

ziemskiej. Jednym słowem czerpią z książek wiedzę z różnych dziedzin nauki. Książka więc stała się nosicielką kultury, postępu i cywilizacji.

Większość was, drodzy czytelnicy, napewno bardzo lubi czytać książki. Jedni lubują się w książkach podręcznych, które oprowadzają was po całym świecie i przez które poznajecie położenie geograficzne różnych krajów oraz obyczaje i kulturę narodów zamieszkujących te kraje. Inni z zapałem zaczytują się w książkach, opisujących życie zwierząt. Jeszcze inni chętnie czytają powieści historyczne lub poezje, które dostarczają im szlachetnych wzruszeń. A wszyscy, tak dzieci jak i dorośli, z przyjemnością czytają bajki, nigdy nie tracące swego czaru i piękna.

Z czytania książek wynosimy bardzo dużo korzyści. Przedewszystkiem czytając uczymy się pisać. Zauważcie w szkole, jak piszą zadania dzieci, które dużo czytają, a przekonacie się, że piszą dużo lepiej od dzieci nielubiących czytać. Z książek nabywamy różne wiadomości, zależnie od tego, jakie książki czytamy. Z powieści historycznych dowiadujemy się, jak żyli ludzie przed wiekami i zarazem utrwalamy nasze wiadomości z historii. W książkach przyrodniczych poznajemy cuda z życia roślin i zwie-



rząt, których nie dostrzegamy zupełnie w życiu codziennem. Dowiadujemy się o sile pary wodnej, którą ludzkość wykorzystwała dla swoich celów. Dowiadujemy się także jak powstało radio i o wielu jeszcze cudownych wynalazkach technicznych. Książki podręczne i opisy przygód pozwalają naszej wyobraźni podróżować po wszystkich najciekawszych lub najniebezpieczniej-





szych zakątkach świata. Narażać się na niebezpieczeństwa i trudy, walczyć z dzikimi zwierzętami i zwyciężać dzikie szczepy, które czyhają na nasze życie, nie dopuszczają nas do celu naszych wędrówek. Do wszystkich tych korzyści dochodzi wreszcie przyjemność, jaką nam sprawia czytanie. Wielu z Was poświęca pewnie bardzo dużo czasu czytaniu. Robicie to prawdopodobnie nie z myślą, że można się z książek dużo nauczyć, ale dlatego, że sprawia Wam to wielką przyjemność. Czytajcie więc bez względu na to, jakie pobudki będą Wami powodowały. Najważniejszą rzeczą jest, abyście wiedzieli jak czytać.

Jeżeli chodzi o rodzaj książek czytanych przez Was, to oczywiście jest to zależne od Waszych upodobań. Przy czytaniu każdej książki trzeba uważać na sposób, w jaki jest napisana. Należy dobrze przypatrzeć się, jak są zbudowane zdania. W ten sposób i Wy nauczycie się dobrze zdania budować i poprawnie pisać. Nie trzeba, w pogoni za rozwojem treści, opuszczać opisów przyrody, ponieważ czytając te opisy uczycie się obserwować przyrodę. Po przeczytaniu książki należy się zastanowić nad nią i wysnuć z niej wnioski. Jeżeli się czyta książkę podróbniczą, dobrze jest zajrzeć do atlasu i stwierdzić, w którym miejscu znajduje się opisywany kraj. Czytając powieść historyczną trze-

ba przede wszystkim zwrócić uwagę na okres historyczny, w którym rozgrywa się akcja i na obyczaje ludzi opisywanych w tej książce. Koniecznym jest przypomnieć sobie, co się wie już ze szkoły o tym okresie, co się w nim działo, kto panował i t. d. i zestawić to z tem, co się przeczytało w książce. Dopiero wtedy można mieć zupełny obraz wszystkiego, o czem książka opowiada.

Książek nie wolno niszczyć. Jest to przykazanie, którego powinni przestrzegać wszyscy czytający. Książka, to żyjąca istota, która nam dotrzymuje towarzystwa, dostarcza wielu wzruszeń, uczy nas różnych pożytecznych rzeczy i nigdy nas nie zawiedzie, ani opuści. Jakże więc można wyrządzać jej krzywdę, plamiąc ją lub drąc? Brudna i podarta książka przypomina brudnego, dawno niemytego i obdartego człowieka. Nie lubicie być brudnymi i nosić potarganą odzież. Czemuż więc mielibyście krzywdzić w ten sposób książkę? Specjalnie już szanować trzeba książki wypożyczone czy to od kogoś znajomego, czy to z wypożyczalni. Szanować je trzeba przede wszystkim dlatego, że są one cudzą własnością i że będą czytane jeszcze przez wielu, wielu ludzi, którzy nie mogą kupować książek. Kartek książki nie wolno odwracać przy pomocy naślinionego palca. Książka niszczy się ten sposób i dostaje t. zw. oślich uszów, które bardzo ją szpecą. Jeżeli książka jest z wypożyczalni, to ślinienie jej jest niebezpieczne tak dla tego, który to robi jak i dla tego, który będzie ją potem czytał, gdyż w ten sposób przenosi się bakterje, powodujące choroby.

Przyjemnie jest mieć książki własne. Są wtedy stale z nami, wciąż do nich z przyjemnością powracamy, wciąż na nie patrzymy i czujemy, że z każdym dniem są nam bliższe. Przywiązujemy się do nich, kochamy je jak żywych przyjaciół, z którymi nie rozstajemy się nigdy. Niektórzy z Was mają pewnie swoje biblioteczki. Aby utrzymać w porządku biblioteczkę, trzeba stale o nią dbać. Inaczej książki się niszczą, brudzą i stają przez to obce. Książki w biblioteczkach ustawia się grupami. I tak

przyrodnicze książki razem w jednej grupie, historyczne znowu razem w osobnej grupie, podróżnicze, wiersze i t. d. wszystko w osobnych grupach. W ten sposób zawsze wszystkie książki są na swoim miejscu i łatwo do nich, w razie potrzeby, trafić. Książki, które się najbardziej lubi stawia się na miejscu naczelnem, najłatwiej dostępnem, ponie-

waż często się je wyjmuje. Powinno się mieć spisane wszystkie książki. Notuje się je po alfabecie, według nazwisk autorów i obok nich umieszcza się odnośne tytuły.

Książka jest nosicielką kultury, nauczycielem, przyjacielem, towarzyszem i dlatego trzeba ją cenić, szanować i kochać.

Marja Hryniewiecka

OCZY I RĘCE

Była może siódma, a może ósma rano, kiedy Szczepan z matką i z pakunkami weszli do bramy i zaraz potem na schody. Matka była dzisiaj taka jakaś łagodna, oczy miała zaczerwienione od łez i mówiła, że boli ją głowa od tego rozstania się ze Szczepanem.

— Już sama wniosę ten toból, a ty pamiętaj, tylko, żebyś był grzeczny... Przecież obcy ludzie, to nie ja... I pamiętaj, żebyś przyszedł w niedzielę, bo

będę czekać... i ojciec się z tobą porachuje, jak nie przyjdiesz...

Przystanęli przed dzwiami z blaszaną kartką i z napisem:

KRAWIEC MĘSKI I DAMSKI

palta, garnitury i reperacje

FRANCISZEK ZAPĄŁ

— To tu? — zdziwił się Szczepan.

— To tu... A ty myślałeś, że gdzie? — Ręka matki zapukała palcem i zaraz potem trochę głośniejszą klamką.



— Kto tam? — zawołał od wnętrza kobiety głos.

— To chłopiec — odpowiedziała cicho matka, i drzwi otworzyły się, najpierw z łańcucha, potem z klucza, a potem już zupełnie.

— Nie będę wchodzić do państwa — powiedziała matka, kłaniając się tęgiej pani w szlafroku. — Postawię tylko rzeczy i już pójdę... — i patrząc na Szczepana, dodała: — A ty, synku, nie masz płakać... rozumiesz?

Szczepan nie odpowiedział. Stał na progu i obracał czapkę w obu rękach i patrzył uporczywie na tę czapkę. Dopiero kiedy matka podstawiła mu rękę pod sam nos i kiedy cmoknął tę rękę trzy razy na pożegnanie, cichy żal podrapał trochę w serce na płacz i zaraz pod powiekami zrobiło się mokro.

— Już idę, — westchnęła głośno matka, i znowu drzwi otworzyły się i zamknęły.

Czyjaś inna, obca dłoń ujęła Szczepana pod brodę i uniosła mu do góry twarz.

— No, pokaż, jakie masz oczy... Po co zamykasz? pokaż... niebieskie?... No, a wiele masz lat?

— Jedenaście... — z trudem uśmiecha się Szczepan.

— A dlaczego matka powiedziała, że trzynaście?

Nie wiedział. Znów szybciej pokręcił czapkę rękami i wymamrotał bez sensu:

— No, bo mam trzynaście...

— To dlaczego mówisz, że masz mniej?

Znowu nie wiedział. Przekręcił głowę trochę w bok, westchnął podobnie jak matka przed odejściem i nagle zagadał zupełnie o czemś innym:

— Mamusia przez całą noc siedziała nad tą moją bielizną... Szyła i szyla...

Dłoń tęgiej pani odrywa się spod jego twarzy, a wesoły, dobry głos wykrzykuje:

— Nie powinno się go było brać... To jeszcze takie dziecko!... I dlaczego ty, Franek, nigdy nie zobaczysz przedtem, co bierzesz sobie do domu?..

W drzwiach od pokoju ukazuje się twarz majstra.

✱

Majster jest mały i chudy, dużo drobniejszy od żony. Włosy ma uczesane w twardą, czarną szczotkę i taka sama szczotka, tylko dużo mniejsza. Jeży mu się pod nosem. Odrazu poczuł Szczepana, że wcale się panu Zapale nie spodobał, bo majster raz tylko i to na krótko rzucił na chłopca okiem, i zaraz począł patrzeć gdzieindziej.

— Powiadasz, Maniu, że za mały?... Eee, chyba nie... Przecież buty już powinien umieć wyczyścić...

— Tobie tylko buty w głowie!... A Cesię kto do szkoły odprowadzi? a ze mną kto pójdzie na targ?... Mówiłam, żeby wziąć większego chłopca!

— Zobaczysz się jeszcze, zobaczysz!...

Głowa majstra znowu chowa się za drzwi, a majstrowa, ciągle gniewna pyta:

— Śniadanie jadłeś?

— Co nie miałem jeść!

— Mówi się tak, albo nie.

— Tak...

— No, to idź do warsztatu i wyczyść majstrowi trzewiki! Zaraz ci przyniosę pomadkę i gałgan... Tylko cicho się sprawuj, bo jeszcze śpi pan Mareczek.

Istotnie, ktoś spał na łóżku pod ścianą, nakryty dwiema kołdrami na głowę. Szczepan powstał przez chwilę przy progu, a potem podszedł cicho na palecach do wysokiego, drewnianego stołka i usiadł. Wczesny półmrok poranny panował w tej wielkiej izbie o trzech oknach, pozarastanych zupełnie przez mróz. Przy każdym oknie stały takie same wysokie stołki do siedzenia i długie, wąskie stoliki, a nad każdym zwiisała nisko na sznurze lampa z blaszanym kloszem. Takie same trzy lampy nieruchomo wisiały w powietrzu nad dwiema bezczynnymi maszynami do szycia i nad ogromnym stołem, na którym niepotrzebnie wałęsała się wyszczerbiona miednica, jedno żelazko z przepaloną rączką i jakieś szmaty...

Chłodno było w tej izbie, choć ogień buzował i trzeszczał pod płytą kuchni w kącie. Chłodno było i pusto i smutno pod niskim szarym sufitem i nad podłogą, wychodzoną do białego i pełną szpar i zapadlin.



— A więc to jest warsztat?... — Przez tę chwilę, zanim majstrowa nie przyszła, Szczepan skurczył się i zziąbnął od chłodu i od smutku.

— Jedna pani przyjechała do nas na święta, — szeptem przemówiła od proga majstrowa, — i będzie u nas do Trzech Króli... Jak odjedzie sobie spowrotem do Pułtuska, to sam tu będziesz spał...

— A jaka pani? — szeptem zapytał Szczepan.

— Jaka?... Moja siostra... Widzicie go, jaki ciekaw!... Pan Mareczek śpi tutaj chwilowo, a jak ta pani odjedzie, to mu się łóżko spowrotem wniesie do pokoju... No, a teraz, to już czyść! Chyba wiesz, że trzeba czyścić żółte trzewiki żółtą pomadką?

— Kiedy tutaj jest czarna...

— Eee, głuptas jakiś!... Zajrzyj w drugie pudełko, to zobaczysz, że jest i żółta...

*

Majstrowa popatrzała jeszcze na ogień pod płytą kuchni, przestawiła jakieś garnki, nakryła jakiś rondel po-

krywą, dołała wody do ogromnego czajnika i znów odeszła.

To pewnie dzień robi się jaśniejszy za oknami, lecz tak się zdaje, jakby cały warsztat tylko od tych nowych butów majstra tak pojaśniał i poweselał. Nowe są, żółto-czerwone i podobne jeden do drugiego, jak bracia. Nosy mają krótkie, lekko przypłaszczone, jak wąsy, jak długie, cienkie wąsy jakowegoś zwierza. Włożyć rękę w otwartą gębę cholewek?... nie pochwycą tam ręki żadne zęby ostre i złe?... język przecież jest... jest cienki, skórzany, podszyty białą skórką...

Smarując żółtą pomadką ciemną, lekko zabłocone obcas, nie może Szczepan oprzeć się wrażeniu, że myje gębę jakiegoś srogiego zwierzęcia i że jak tylko postawi wyczyszczony już but na podłodze, to ten but zaraz zacznie skakać i szczekać jak pies, albo wskoczy na stół i podejdzie do miski z wodą, żeby się napić. I będzie przytem wyciągał i wydłużał swój cienki skórzany język, podbity białą skórką...

— A kto ty jesteś?

To za plecami rozległ się ten głos nagły i głośny. To z łóżka. Kołdry trochę się rozchyliły i Szczepan, już po przestrachu, może uśmiechnąć się do czarnej czupryny i do twarzy zupełnie podobnej do twarzy majstra, tylko, że młodszej, młodszej...

— Ja wiem, kto ty jesteś... Ty jesteś Mareczek... Pan Mareczek...

— No, ale ty...

— Ja?

— Kto ty jesteś? dziewczyna, czy chłopak?

— Szczepan.

— Ale czy chłopak, czy dziewczyna?

Zmieszało Szczepana to pytanie, bo już nadzwyczaj było głupie. Lekko, lekko łachocąc miękką szmatką obcas pierwszego buta, odpowiedział wymijająco:

Pan Jerzy Kornacki napisał ciekawą książeczkę pod tytułem „Oczy i ręce”. Są to dzieje Waszego rówieśnika, terminatora krawieckiego. Zapłaczecie i za-

— Ja mam u siebie w domu dwa małe gołębie w klatce...

Ale pan Mareczek przeraził się. A może tylko udał przerażenie?... Obie ma rękami złapał się za czuprynę i wystawił z łóżka na Szczepana zadziwione, przerażone na okrągło oczy.

— O rany!... ależ głuptasa sobie ojciec wziął do terminu!... Chyba jeszcze takiego drugiego nie widziałem!... Pokaż no się dobrze, jaki jesteś... No tak, masz obie nogi i nos, więc dlaczego taki głupi? dlaczego taki głupi?

Pod przykrem, złośliwym spojrzeniem Szczepan najpierw się zaczerwienił, potem obrócił plecami do pana Mareczka, a potem począł płakać w miękką szmatkę do butów.

Jerzy Kornacki

śmiejecie się nieraz nad dolą Szczepana, czytając tę książkę, która jest opowieścią o pracy i o przyjaźni.

POSIEW WOLNOŚCI

Życie dziś w niepodległej Polsce — nie stoi nad wami rosyjski żandarm i rosyjski nauczyciel. Ale może nie wszyscy z Was zdają sobie sprawę, jaka olbrzymia różnica jest między Waszym życiem, a życiem dzieci z pokolenia Waszych rodziców. Pani Helena Radlińska opowiada bardzo pięknie o owych czasach w książeczce pod tytułem „Posiew wolności”. Znajdziecie tam historię małej dziewczynki Joasi, która towarzyszy zesłanemu na Sybir ojcu. Przeczytajcie sobie koniecznie tę książkę — jest piękna, mądra i wzruszająca. My możemy dać Wam z niej tylko mały wyjątek — sam początek pamiętnika Joasi.

Od czego zacząć? Chyba od tego pierwszego dziwnego wieczoru, kiedy sen splótł się z jawą. To wytłumaczy wam, dlaczego nie przyszedł się pożegnać z naszą „Górką”, ani z panną Jądwigą „Czarną” i „Białą”, ani z Wami.

Położyłam się spać, jak zwykle



w ostatnich czasach, u rodziców Tatusia. Matusz wyjątkowo mnie dziś odpro-
wadziła. Była dziwnie milcząca i roz-
targniona, kiedy całowała mnie na
dobranoc. Zauważyłam, że ma łzy
w oczach.

Zapraǳnęłam usłyszeć, o czym „Ma”
będzie rozmawiała z Dziadkami, cho-
ciaż wiem, że to nieładnie podsłuchi-
wać. Tak rzadko przychodziła tu wie-
czorem, nigdy nie zostawała na noc,
a dziś zatrzymała Dziadunia, który
chciał się przejść, mówiąc, że ma coś
ważnego do powiedzenia. Napewno bę-
dzie to nadzwyczajne.

Zamknęłam oczy. Zawsze to robię,
gdy chcę wyteńczyć słuch. Cóż, kiedy spo-
czątku rozmawiali bardzo cicho. Słysza-
łam tylko powtarzane imię Tatusia —
Jurek — i słowo „wyrok”, i jeszcze jed-
no: „Syberja”. W pewnej chwili Dzia-
duś się rozgniewał i zaczęli głośno mó-
wić:

— Nie, nie powinniście zabierać Jo-
asi. Dziecko się zmarnuje. Dość, że sami
się wykolejacie.

Babunia tłumaczyła coś nawpół
z płaczem. Przypominała, że już drugi
rok szkolny stracę, mówiła, że mogę
zachorować. Zresztą, gdyby to był
chłopiec...

„Ma” odpowiada głosem zrazu drżą-
cym, z coraz większym uniesieniem:

— Chcemy wychować Joasię na
dzielneǳego człowieka, zaszczeǳić w niej
to, co jest naszym największym ukocha-
niem. Niech zazna losu walczących,
niech pozna świat. Wszystko jedno:
chłopiec czy dziewczyna. Obowiązki wo-
bec Polski i ludu mają te same. Zresztą
dziewczyna w tym wypadku właśnie jest
powołana...

— Wiecie — mówiła dalej „Ma” —
jaki jest Jurek. Czuje się źle, może po-
prostu nie wytrzymać samotnego zesa-
łania. Ze mną niewiadomo, co będzie:
mogą mnie lada dzień zamknąć, mia-
łam już niejedną ciężką chwilę, myśląc,
co się stanie, gdy każde z nas znajdzie
się gdzieindziej. Muszę Jurka ratować.
Joasia będzie najlepszą pociechą i po-
mocnicą ojca, gdyby mnie zabrakło. Sa-
ma się rozwinię, zmężnieje, nabierze
hartu na całe życie.

Krzysiu! I Wy wszystkie, cała „Gór-
ka”, możecie sobie wyobrazić, co się ze
mną działo, gdy słuchałam tej rozmo-
wy...

Czy pamiętacie, że „Ma” czytała
z nami na lekcji polskiego, jeszcze w za-
przeszłym roku, wiersz Mickiewicza „Do
Matki Polki”, jak to w niewoli trzeba
wychowywać syna:

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
Aby nie zbłądnął przed wroga obuchem,
Ani nie zadrżał na widok powroza.

Gniewaliśmy się wtedy na Mickiewi-
cza, że pisze tylko o synach. Przecież
i my chcemy walczyć i będziemy wal-
czyły. Jakże często powtarzałyśmy
wiersz, który panna Marja wpisała Józ-
i do albumu:

U ojców naszych dawne hasło było:
Oręż, śmierć, sława.

I tak głęboko w ich serca się wryło,
Że za kraj walczyć, umierać im miło,
Jakby zabawa...

Jakże często przysięgałyśmy „zdobyć
męczeńską koronę”, „walczyć o kraju
prawa uciśnione, choćby daremno”...

Nie mogę dalej nasłuchiwać, choć
Dziadus prawie krzyczy. Coś dziwnego
się ze mną dzieje, nachodzą mnie obra-
zy, jak we śnie. Najsamprzód z po-
przedniej szkoły, z czasów czytania
wiersza Mickiewicza. Iwanow, Moch
przebrzydły, nasłany na miejsce nasze-
go kochanego profesora Witkowskiego,
staje nademną i każe powtarzać: —
Eto Priwisłinskij Kraj.

— Tu Królestwo Polskie. — Czuję,
z jaką zawziętością odpowiadałyśmy po
swojemu. Jakże byłyśmy dumne z „pa-
łek”, które wpisywał do dziennika.

I zaraz inny obraz z tamtej szkoły,
z zeszłego roku: jak darłyśmy rosyjskie
książki, jak wyrzucałyśmy carskie por-
trety. Jakaśmy wołały: chcemy polskiej
szkoły!

I znów jestem na ulicy, w tłumie,
który śpiewa: „Nasz sztandar płynie
ponad trony...”. Ten sztandar! Robiły-
śmy go przecież w nocy z „Ma” i towa-
rzyszką Jadwigą z czerwonej firanki, na-
zywanej srebrną taśmą. W świetle słoń-
ca, nad głowami tłumy, jakże inaczej
wygląda, uroczyste, potężne!



Potem obraz z domu. Jak to w noc Bożego Narodzenia przyszli żandarmi i zabrali Tatusia. Raniutko, kiedy byłyśmy tylko same, „Ma” wyjęła ze słoja z watą jakąś paczkę, której żandarmi nie znaleźli, i powiedziała:

— Joasiu, na ciebie nie zwrócą uwagi, zanieś tę paczkę do państwa Wolskich i wszystko im opowiedz. Idź śmiało, zwyczajnie, uśmiechaj się.

Byłam z tego dumna, łykałam łzy! Ale nawpół żywa dzwonię do Was...

Co to? dzwonek! Znów słyszę rozmowę. Babcia mówi:

— Maryniu, ktoś szuka obywatelki Natalji, czy to o tobie mowa?

Drzwi trzasnęły raz i drugi, potem głos „Ma”:

— Niema ani chwili do stracenia. Dostałam wiadomość, że wywożą ich za parę godzin. Musimy natychmiast przy-

gotować się do drogi. Spróbuję się dostać do domu, przyniosę rzeczy. Nie budźcie jeszcze Joasi.

— Matusiu, ja nie śpię i wszystko słyszałam!

Och!... „Ma” siadła przy mnie na łóżku i zaczęła pytać:

— Joasiu, czy chcesz naprawdę porzucić dziadków i szkołę, czy chcesz pojechać z nami na Syberję etapem? Rozważ: będziesz jechała razem z więźniami, w brudzie i często o głodzie, będziesz spała na deskach. Na Syberji będziesz musiała pracować, pomagając nam w najprostszych robotach. Będziesz się uczyła z Tatusiem i ze mną, ale bez koleżanek. Wiedz, może mnie zabraknąć. Może będziesz musiała sama gospodarować Tatusiowi.

— Matusiu, czy chcę? Strasznie chcę, jestem szczęśliwa!

TEATR KUKIELEK

Czy słyszeliście kiedy o dziwnym teatrze z bajki, gdzie aktorzy żyją tylko wtedy, kiedy grają, mówią choć nie otwierają ust, a ubierają się tylko raz w życiu i nie potrzebują ani jeść, ani pić?

Czy słyszeliście o teatrze, gdzie aktorami są lalki, o „Teatrze kukielek”?

W teatrze tym każdy z was może być jednocześnie autorem, reżyserem, aktorem, śpiewakiem i wszystkim.

„Teatr kukielek” możecie założyć

wszędzie: w szkole, w świetlicy, a nawet u siebie w domu.

Nie potrzeba do tego prawie wcale pieniędzy — tylko trochę sprytu, pracy i cierpliwości, i najważniejsze — trzeba wiedzieć, jak się to robi.

W Polsce jest tylko jeden taki stały teatr, jest to teatrzyk kukiełkowy „Baj”, Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci na Żoliborzu w Warszawie.

Ludzie, którzy w tym teatrze pracują, napisali książkę p. n. „Teatrzyk kukiełek”, która wyszła nakładem „Naszej Księgarni” w Warszawie pod redakcją pani Marji Kownackiej.

Z książeczki tej można się dowiedzieć wszystkiego: jak się robi kukiełki, jak wygląda scena teatru kukiełek, jak ją można wybudować nawet z przewróconego stołu, albo... z fotela o wysokim oparciu.

Pracownicy teatru „Baj” mają duże doświadczenie, do którego doszli wieloletnią pracą i w swojej książce podzielili się niem z czytelnikami — każdy, kto przeczyta tę książkę, będzie umiał urządzić taki teatrzyk.

A warto!

Ileż on może dać radości i ileż może nauczyć! Jakże różnorodna i ciekawa jest praca w teatrze kukiełek.

Wszystko od początku do końca można zrobić samemu. Można być rzeźbiarzem, malarzem, krawcem, budowniczym, elektrotechnikiem, maszynistą...

Książka „Teatrzyk kukiełek” uczy teatru, pokazuje i objaśnia trudny trochę, ale ciekawy mechanizm kulis teatralnych, które tak bardzo zajmują wszystkich znających i kochających teatr.

Nie każdy jednak potrafi pisać sztuki sceniczne, a dla teatru kukiełek muszą być sztuki pisane specjalnie, inaczej, niż dla dużego teatru. Tu znów przyszło z pomocą wydawnictwo „Nasza Księgarnia” w Warszawie, które rozpoczęło druk „Biblioteki Teatrzyku Kukiełek”.

Ukazał się już pierwszy i drugi tomik tej biblioteki — są to najpierw „Bajowe Bajeczki i Świerszczowe Skrzypeczki” pani Marji Kownackiej w opracowaniu muzycznym pana J. Wesołowskiego.



Sztuka ta była wystawiana w teatrzyku kukiełek „Baj” przeszło sto razy i cieszyła się wielkim powodzeniem zarówno u dzieci, jak i u dorosłych.

Drugi tomik „Biblioteki Teatrzyku Kukiełek” — to książka p. L. Krzemienieckiej „Historja cała o niebieskich migdałach”. I ta sztuka ślicznie wygląda na scenie kukiełkowej, a każdą lalkę, ukazującą się w maleńkim teatrze, wiatać będziecie zachwytem.

Książka „Teatrzyk kukiełek” i „Biblioteczka Teatrzyku Kukiełek” powinny przyczynić się do jaknajszerszego rozwoju tego rodzaju widowiska, tak mało znanego jeszcze w Polsce. Na Zachodzie rozwinęło się ono bogato, jest cenione i kochane przez wszystkich — przede wszystkim przez dzieci i młodzież.

W Czechosłowacji np. są już stałe budynki dla widowisk kukiełkowych, są setki utworów drukowanych specjalnie dla tych teatrów, już dwudziesty pierwszy rok wychodzi piśmko, poświęcone tylko kukielkom i jest uruchomiony specjalny przemysł wytwarzania kukiełek, które można tam i zamówić i kupić gotowe.

L. M.

LEGENDA O JANIE Z KOLNA

(wyjętek)

Przyszła wreszcie wiosna, a z nią wieść, że najbliższym statkiem, zawijającym do Islandji, zjawi się nowy przeor.

Zaczęto robić pośpiesznie porządki w klaszorze. Bratu Piotrowi przypadło w udziale uporządkowanie pokoju zmarłego, gdzie miał zamieszkać nowy przeor.

Sprzątał brat Piotr. Układał na ławie i na stole zwitki pergaminów, których tu wszędzie poniewierało się dużo. Nie lubił zmarły, by ktoś mu w pracy przeszkadzał, należące do niego rzeczy ruszał i przerzucał. Leżało wszystko tam, gdzie położył. Rosły przez lata sterty pergaminów, jako że uczony był przeor Mateusz i zaciekawiało go wszystko, co się tylko kiedy, choćby w najodleglejszych czasach, wydarzyło.

Starannie wyglądał brat Piotr pozwijane rulony zżółkłych pergaminów, znaczone czarnymi śladami inkaustu, połyskujące gdzieniegdzie złotem zdobnych zawijasów przy literach. Odkładał je za porządkiem na jeden koniec wielkiego stołu. Cenne to były rzeczy, przechowywać je należało dla potomnych, dla przyszłych wieków, by o nauce i sta-

raniu o nią klasztoru świadczyły w przyszłe lata potomnym.

Powoli cienie mroku zaczynały się snuć po komnacie. Jakby się u sufitu wieszały szare pajęczyny, jakby milczący pajak wyciągał bezgłośnie swoje

WANDA WASILEWSKA

LEGENDA O JANIE Z KOLNA



NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA





cienkie odnóża i obmacywał niemi bele pułapu, rzeźbione ongiś ręką bezmiejennego mistrza w misterny kształt.

Pod oknem czał się cień i krył dębowa deski podłogi coraz gęstszym pomrokiem. Ale brat Piotr nie zauważał tego. Dalej składał pergaminy.

Teraz trafił mu w rękę jeden, od innych odmienny. Nowszy był, nie tak zniszczony, i brat Piotr poznał na nim znaki, pisane ręką przeora. Rozpoczęła się cośi u góry i kończyło wnet, a jeszcze szary mrok zacierał kształty liter ciekawym oczom.

Postąpił brat Piotr ku rozwartemu oknu, za którym gniewnie huczało morze, przelewając się przez podwodne rafy i bijąc o brzeg urwiska, spadającego stromo w fale urwaną ścianą.

— Burza będzie — pomyślał Piotr i rzucił niespokojnem okiem na fioletowoszare niebo, na którym wisiały ciężko ołowiane chmury, a po ich złowróżbnem tle przeganiał wiatr szybkie obłoki, rozświetlone rudą poświatą.

Oparł się łokciami na parapecie i przyjrzał uważnie pergaminowi. Tak, nie pomylił się. Przeora Mateusza było owo pisanie, równemi rządками znaczące się na szerokiej karcie. Widywał przecie nieraz jak przeor zaostrzonem dobrze gęsiem piórem wodził po pergaminie. Poznał teraz jego rękę. Przybliżył pismo do oczu. Nie był zbyt

wprawny w czytanie brat Piotr. Powoli, literę za literą zbierał razem, aż mu się układał wyraz. Wyraz składał do wyrazu.

Aż mu się pismem umarłego przeora wyjawilo zapisane równo na arkuszu pergaminu u samej góry, literami dużemi z zawijasem u każdej misternym:

Opowieść o Janie z Kolna,

Żeglarzu nieustraszonem,

*Rycerzu na obcym żołdzie ojczyźnie
swojej i pamięci Króla Władysława
zawsze wiernym.*

Opuścił brat Piotr dłoń z pergaminem na wnękę okienną. Wspominał mu się daleki dzień, kiedy to głośno huczał w klasztorным refektarzu głos obcego przybysza, i złoty miód lał się z bawolich rogów na przyjęcie gościa, który pół dnia z przeorem w izdebce jego przegwarzył.

Zapatrzył się brat Piotr w oddal morską, mroczniejącą siwym tumanem, że tylko białe grzywy pian jaśniały w ciemniejącej przestrzeni. Opuścił wolno dłoń, trzymającą pergamin.

A wtedy zagnała poderwał się wiatr. Uderzył mocnem skrzydłem, aż zadźwięczały drobne szybki w ołowianych oprawkach. Złakł się brat Piotr, że wylecą z obsady, albo zgoła wicher i okno z zawiasów wyrwie. Pośpiesznie wyciągnął ręce, żeby przywrzeć okiennice.

W tym nagłym ruchu zapomniał

o pergaminie. Przeląkł się też niewymownie, kiedy nagle spostrzegł, że wiatr pergamin za okno porwał i trzepoce nim teraz w powietrzu jak wielkim, białym ptakiem. Piotr wyciągnął ręce w przestrzeń, ale nie było mowy, by schwytać kartę. Kręcąc się jak liść, opadała w dół, na spienione fale. Opadła. Zachybotała się na wodzie raz i drugi i zaczęła się powoli jednym rogiem zanurzać.

Zdawało się Piotrowi, że widzi jeszcze stąd rząd czarnych znaków:

*Opowieść o Janie z Kolna
Żeglarzu nieustraszonym...*

Zanurzyła się karta. Pochłonięła ją siwa głab.

✱

Wczoraj i dziś, i każdego dnia w mieście Kaliszu w kościele Franciszkanów o godzinie dziewiątej bije dzwon. Niesie się wieczornym mrokiem jego głos. Wieści świata chwałę i klęskę króla Władysława, zamierzenia jego wielkie i młodą śmierć.

Ale o Janie z Kolna szumi tylko bezbrzeżne morze.

Wanda Wasilewska

BYŁ BÓJ POD OLIWĄ

Grześ Fafuła wpadł jak burza w wąską sień domu imci pana radnego Hewela, stąd zaś, po kilka stopni przeskakując, po schodach, wiodących na pięterko, znalazł się w alkwie przyjaciela swego, Jurka. Puciołowata twarzyczka Grzesia płonęła kraśnym rumieńcem, przymrużone dla krótkowidztwa małe jego oczki sypały skry, a fertyczny jęzorek plątał mu się po wdzięcznej gębusi. Aż krzywiąc się okropnie i zająkując, wyszeplenił:

— Gdzie jest Król? Król Jegomość?

Jurek Hewel¹⁾ roztropnie palec do ust przyłożył. Powstając od sekretarzyka, różanem drzewem inkrustowanego, wskazał on milkliwie w stronę zawartych drzwi, zpoza których dochodziło mamrotanie wzburzonych głosów wielu, jakgdyby tam był ul, mający się lada moment wyroić.

— Cyt, cyt... — uspokajał Grzesia starszy koleżka.

— Hewelek, ty durniu jeden — zasycał ostrym szeptem Fafuła — czegoż nie gadał, że przybędzie na tajemną naradę Król Jegomość!

¹⁾ Postać historyczna. Pochodził ze starej rodziny kupców gdańskich i był znany z przywiązania do Rzeczypospolitej. Król Władysław IV mianował go członkiem Komisji Okrętów Królewskich, odpowiadającej dzisiejszym ministerstwu marynarki, i polecił mu nabywanie okrętów do marynarki wojennej. Z zadań tych Fiewel wywiązywał się znakomicie.



— Sam ty durni — odparł Jurek Hewel, pieszczotliwie Hewelkiem zwany, — nie masz tu nijakiego Króla. Ktoś, komu wróble w pustej głowie ćwierkają, rozpuścił głupie gadki o przybyciu J. K. Mości, dlatego jeno, iż temu dwa roku na perlestrunek²⁾ swojej flo-

²⁾ Przegląd.

Chińczyk oddaje mi latarkę, żebym oświecał drogę, a sam bierze Tomka na ręce i gadając jeden przez drugiego, wracamy do dworu.

Witają nas triumfalnym okrzykiem i znowu gradem pytań. A przecież sami nie wiele rozumiejący z tej całej pulapki.

Trusia z Każą uspokoiły Tomka ułożyły go do łóżka. Dopiero wtedy nam wyjąkał:

— To... to „Groźny” zaśadził... on mi kazał cicho być, bo jak pisać, to mnie Leśny dziad złapie... I powiedział, że niedługo po mnie przyjdzie... żeby cicho siedziałem... ale nie przyszedł... a ja się bałem... ja się bałem...

— Ależ to niegodziwe! — oburza się Trusia.
A Każa przyskakuje z pięściami do Romana, który siedzi, niewyraźny, w kącie.

— Ty! Ty! Ty rozbójniku! Wstrętny!
— Jak on mógł?!
— To poco opowiadacie głupie bajdy? Chciałem go trochę rozumu nauczyć...
— Żebym ja ciebie nie nauczył! — krzyczę. A Edek już zawija rękawy:
— Chcesz? Co?

Ale Chińczyk przerywa naszą kłótnię i mówi podniesionym głosem, innym niż zawsze:

— To, co dziś zrobiłeś, Romanie, przekracza swoją brzydotą wszystkie przewinienia naszego Dworu! Jutro odjedziesz z kolonji. A teraz chodź ze mną!

Patrzmy zdziwieni, jak Każa odpina od bluzki swoją ulubioną „jaskółkę” i daje żydówce.

— Ona kosztowała całe pięćdziesiąt...

— Niech i tak będzie. Ja tatuniovi powiem, że to na zastaw, a jak kiedy panienska zechce raz jeszcze tu przyjść, to jej oddam to za trzydziści groszy... Gut? Aj, aj, jaka piękna broszka!

Kazia trochę z żalem patrzy na jaskółkę. Robi się na chwilę cicho. Siedzimy na trawie zmęczeni i milczący, gryziemy soczyste jabłka. Ciężkie gałęzie wiszą nad naszymi głowami. Właściwie, żeby nie wstyd, co jeszcze siedzi w sercu — byłoby tu zupełnie dobrze. Podziwiam Kazię, że potrafiła tak uratować sytuację. Chyba jednak Esterka nie potrafiła nas o nic brzydkiego? Chociaż... Naprzykład teraz mówi jakby naumyślnie:

— My każde lato tu siedzimy. W ostatnim roku to jakieś andrusy weszły przez ten parkan i nakradły tatuniovi dużo śliwek. To on miał wielką stratę. A dla niego każda strata, choćby na parę groszy, to wielkie zmartwienie.

Nie wiem, jak długo byliśmy u Esterki. Zjedliśmy wszystkie nasze jabłka i jeszcze trzy gruszki, które nam dołożyła. Siedzielibyśmy pewnie jeszcze pod cieniem starych drzew, gdyby mi się nie przypomniał Edek. Prawda! Przecież Ed czeka tam przy wierzbie! Pomyśli, że się nam Bóg wie co przydarzyło! Chodźmy! Prędko!

Esterka zapraszała, żeby jeszcze kiedy przyjść. Kazia wyciągnęła do niej rękę:

— Dowiedzenia, Esterko! Jesteś bardzo miła! Nie gniewaj się, że... że weszliśmy, że chcieliśmy... że...

Stefek dał Kazi kuksa i nie mogła dopowiedzieć czegoś, co pragnęła. A Esterka roześmiała się szeroko i tak jakoś, że dotąd nie wiem, czy domyślała się naszych brzydkich planów, czy nie?

Było już południe. Spieszyliśmy na obiad, nie rozmawiając ze sobą ani słowa.

W koszyku nieśliśmy jedno jedyne jabłko dla Edka...

ROZDZIAŁ IV.

Lesny dziad.

Wieczorami, jeżeli nie słuchamy radja, i Chin-
czyk nie ma pogadanki — to opowiadamy sobie
bajki. Najładniejsze wymyśla zawsze Basia. Ona
ma głowę do tego, no! Ostatnio zmyśliła całą histo-
rję o Lesnym dziadku. Że jest stary taki, jak świat,
siwy, ubrany w zieloną płachtę, tkaną z trawy, że
płonące szyszki ma zamiast oczu, a w ręku kij
czarnoksięski. Może każdego człowieka zamienić
w drzewo... Lasy — to właśnie zaczarowani ludzie,
a małe chojaczki — to dzieci.

— Ech, nie pleć! — mówi Kazia — przecież
wiemy, że las się zasiewa!

Ale Basia potrzęsa czupryną i macha pogar-
dliwie ręką.

czyk — nie rozpaczaj, Kaziu. Lutek i Stefan, pójdziecie jeszcze raz ze mną w stronę rzeki.

Kazia nie chciała zostać i poszła też z nami.

Słońce już zaszło, jest szaro-niebiesko w powietrzu. Idziemy szybkim krokiem, nawołując co chwila.

Na drogę kładą się od strony lasu tajemnicze cienie. Nad łąką unoszą się białe mgły oparów. Po plecach chodzą dreszcze. Trochę z chłodu, a więcej ze strachu. Zaciśkam pięści, żeby nie płakać jak Kazia, bo coraz więcej żal mi Tomcia.

Naraz Chińczyk zatrzymuje się na drodze, każe nam stać cicho i nasłuchuje... Ależ tak! My też już słyszemy płacz!... Najwyraźniej płacz!...

— O, Jezu! — podrywa się Kazia.

Teraz już łatwo dochodzimy za głosem, który staje się coraz wyraźniejszy i wreszcie...

Na skraj łąki i lasu rośnie olbrzymi, stary dąb z wypróchniałym pniem. Prawda, raz na dalekim spacerze chowaliśmy się do tej dziupli... Że też nam wcześniej do głowy nie przyszło!...

A teraz oto w dziupli siedzi Tomek, jak zaczarowany, nieruchomy, jakby przywiązany, a zapuchnięty od płaczu.

— Tomuś! — krzyczy Kaśka i chwytając go w ramiona. I znowu płacze, ale teraz z radości.

— Tomek! Kto cię tak urządził? (O się stało? Dlaczego tu siedzisz?

Ale nie możemy teraz od malca usłyszeć jakichkolwiek wyjaśnień. Gdy nas zobaczył, rozbechał się na nowo, a trzęsę się jak galareta.

Poleciałem do Chińczyka zameldować o Tomku. Chińczyk dał parę razy sygnał na gwizdka. Zbiegły się niedługo wszystkie dzieci, ale żadne nie widziało Tomcia. Ostatni nadszedł „Groźny”, bardzo powoli. Zapytany, odburknął:

— Skądże wiem, gdzie jest? Nianka jestem?

Zaczęliśmy teraz planowe poszukiwania według wskazówek Chińczyka. Chodziliśmy razem z Chińczykiem przez parę godzin po lesie. Obiad był późniejszy, a po obiedzie znów na poszukiwania. Kazia teraz płacze na dobre, Mańka jej wtóruje, a Baska zwraca mi się na ucho:

— To nic innego, tylko Leśny dziad go porwał... Mówiłam wam... Za tę wiewiórkę...

Jestem tak przestraszony, że gotów nawet uwierzyć w tego dziada... Wyobrażam sobie różne okropności: że się Tomek utopił, że go przyniosą nieżywego, albo co... Strasznie mi żal Kazi. Pobiegła teraz do naszego polowego ołtarzyka, klęczy i modli się na głos:

— O, mój Jezuniu! O, Matko Boska! Gdzie jest Tomus? Święty Antoni, pokaż drogę!...

Pierwszy raz widzę twarz Chińczyka bardzo bladą, bez uśmiechu, niespokojną. Od tego samego robi mi się zimno.

— Przecież niema tu Cyganów... — mówi niepewnie Ed — zalażł gdzieś, wróci...

— Może go wilki zjadły?... — pyta bez sensu Mańka.

— Niema tu żadnych wilków — mówi Chiń-



W dziupli siedzi Tomek...

— Co ty tam wiesz! A ja widziałam Leśnego dziada! Właśnie, że widziałam!

— Kiedy? Czo? Powiedz? — dopytuje się Tomek, szeroko wytrzeszczając oczy.

— Wczoraj wieczorem... Mignął mi za domem... Powiedział: „Ja zemszczę się za wiewiórkę, niedobre dzieci!”

Basia mówi z takim przejęciem, jakby naprawdę widziała tego dziada. My wszyscy trochę z niej kpinny, a trochę chcemy wierzyć... Bo to nawet ładnie można sobie wyobrazić takiego dziadka... Czasem jest przyjemnie wierzyć w bajki. Tomcio, ten to napewno wierzy święcie! Cały wieczór nudził Kazię, żeby mu opowiadała o dziadku leśnym, aż mu zagroziła:

— Nie męcz mnie, bo cię naprawdę oddam Leśnemu dziadowi...

— Już będę grzeczny bardzo. Już mnie tylko nie oddaj!

Przez parę dni wszyscy trochę ze śmiechem a trochę naprawdę straszymy się tym dziadem. Ale bajka miała smutne zakończenie. Posłuchajcie:

Owego pamiętnego południa, gdy to nie udało nam się wyprawa na zyda, wracamy do dworu z niewyrażanymi minami. Kaźka przywołuje Tomka, ale nie może go znaleźć. Szuka więc Mani. Ta siedzi w kacie, pod ścianą, czerwona od płaczu i nagle nowo wypucha fontanną łez. Kazię coś tknęło, krzyczy:

— Tomek? Gdzie Tomek? Co się stało?

— Nie wiem... mnie wiemmm... — płacze Wstanka.

Kazia łapie się za głowę i biegnie do Trusi. Wpada do tronowej:

— Proszę pani! Proszę pani! Jezus Maria! Tomek zginął!

Trusia o mało nie zemdliała ze strachu. Chwyta się za serce i po swojemu, cichutko:

— Dziecko moje, dlaczego wpadasz z takim krzykiem? Przeraziłaś mnie!

— Bo... bo Mania... bo my... Nikt nie wie...

— Bawi się pewno w wigwanie, dopiero tam byłam.

— Niema! Niema! Co ja zrobię?

— Nie rozumiem, dlaczego tak rozpaczasz? Chodź, poszukamy.

Ja i Stefan szukamy w ogrodzie, koło dworu, w obozach, w składziku. Za nami skacze szczerkając, zaniepokojony ruchem, Nero. Trusia wpytuje Manię:

— Jak to było?

— Budowaliśmy z Tomciemmm... ogródek... uu... Na placu... i na chwilkę odeszłammm... poo... kwiatki do zasadzenia... i wracam, a jego już nie-mmna... uu... więc się zlekłam... i przyleciałam ii... — Dlaczego odrzuciłam dziecko moje, nie zwróciłaś się do mnie?

— Pa...pa... ni... była wtedy przy obozach... a ja się tak bhabałam... uu...



ty przedał się do naszego grodu z niebylekim hazardem. Starczyło, aby wszystkie jęzory mleć poczęły, jak najęte. Bez wszelkiej racji, bo tylko wieści od jaśnie wielmożnego pana hetmana wielkiego nadeszły. Zresztą... słodkie pysio stul... i sam posłuchaj:

Zpoza drzwi zawartych komnaty rozbrzmiewał potężny bas admirała Dykmana ³⁾:

— ...ordynans od hetmana Koniecpolskiego ⁴⁾, ...aby, nie mieszkając, całą morską siłą uderzać na Szweda. A ja was pytam, mości panowie, gdzie szukać chytrego nieprzyjaciela? Może w samej Piławie, kędy swe leże ma, he?

— Co jest do spełnienia niepodobne — wtrącił ostro pułkownik Bąk-Lanckoroński ⁵⁾. — Inna rzecz, gdyby

nieprzyjacieli na Małe Morze się zapuścił.

— Nie uczyni tego — zaoponował jeden z oficerów, którego głos chłopcom był nieznanym.

— Uczyni bez pochyby — energicznie zaprzeczył pułkownik. — A to z tej racji, że desant ⁶⁾ wysadzić zamierza.

Znowu ktoś nieznanym głosem zabrał:

— Gdańsk od wojsk hetmańskich odciąć się łakomią...

Dłuższą chwilę głosy sypały się bezładnie.

— W tem moje fortalicje siła mu zawadzają, ...które od Oliwy na Oksywie i dalej precz przez Puck aż do Helu się ciągną... — podjął pan Lanckoroński i zamilkł, jakby nagłą myślą uderzony.

— Jeśli im się dotychczas nie poszczęściło, to dlatego, nie ujmując bohaterstwu nielicznych obrońców, iż ściślejszej pozycji ich nie znają — rzucił od niechcenia admirał.

— Tożes mi Wasza Dostojność z ust wyjął — dodał Lanckoroński. — Nie

temi napadami na Szwedów i czujnem strażowaniem na wybrzeżu morskiem.

⁶⁾ Wojsko na wybrzeżu nieprzyjacielskiem.

³⁾ Dykman Arend — rodem z Lubeki (starostwowski Lubicz), admirał króla Zygmunta III, jeden z twórców marynarki wojennej tego monarchy, był dobrym wodzem i doświadczonym marynarzem.

⁴⁾ Koniecpolski Stanisław — hetman wielki koronny, utalentowany i doświadczony wódz z pierwszej połowy XVII w.; nawoływał do tworzenia floty i budowy portów, niezależnych od Gdańska.

⁵⁾ Jan Bąk-Lanckoroński, pułkownik hussarii, jeden z najlepszych oficerów hetmana Stanisława Koniecpolskiego, wstąpił się swemi śmia-

znają, ale poznają. Szpiegów wybornych mają oni.

— Nie to, co hetmańska kwatery. Dla szpiegowskiego rzemiosła despekt mamy zgoła...

— Siła Szwedy o nas wiedzą, a my o nich....?

Sentencje obradujących się krzyżowały, rejdwach jedynie czyniąc.

— I tak będą rajcowali do kółka panie Macieju — szepnął Hewelek, szturchnąwszy w bok Fafułę. — Chodź, mam ci rzec coś arcyważnego.

Wyciągnąwszy zaciekawionego Grześa w sień, której flizy w świetle ogromnej rogatej latarni lśniły jak zwierciadło, Hewelek ujął się pod boki i ozwał w te słowa:

— A czy ty wiesz, świszczypało, że tajemnicę, nad którą nasi zacni oficjrowie się głowią, ja, nie chwalcę się, mógłbym zgłębić.

— Fiu! fiu! — zagwizdał Grześ, zwinąwszy ucieśnienie puciołowatą swą mordkę. — A niktby nie zgadł, że z ciebie, Hewelek, taki jenjusz wojenny, bo to i prezencję masz mizerną i piegi na nosie i mówią, żeś w całej infimie ⁷⁾ największy asinus asinorum ⁸⁾.

— Kto z nas obu większy kłopotuch — oburzył się Hewelek — ja, który na sztabie Jakóba ⁹⁾, ba i na astrolabji ¹⁰⁾ się znam, miejsce okrętu wedle słońca i gwiazd wyliczę, a całe Małe Morze znam, jako własną kieszeń, czy ty, co o sobie tyle rzec możesz, że „loquor latine” ¹¹⁾.

— A żebyś wiedział — ożywił się Grześ — że nie tylko najpiękniejszą złotą łaciną kwiecisz się wysłowić potrafisz, bo i całe tego po niemiecku i szwedzku.

— Właśnie w tem sęk — odrzekł Hewelek z niezwykłą powagą. — I niech mnie kule biją, jeśli bym wciągał ciebie w tę karkołomną imprezę, gdybyś, hm, szwedzkiego tam odrobinę nie liźnął.

Bo to widzisz, fistułko — dodał nicpoń żartobliwie — kto wie, czy się na tej wyprawie ze Szwedami spotkać nie przygodzi, a zawsze lepiej wiedzieć, co nieprzyjacieli gada. Takóż, chcąc nieprzyjaciela zamiar spenetrować, musisz znać jego mowę. Toć to proste jak obręcz i pierwszy służby wywiadowczej kardynałny warunek.

— *Conditio sine qua non* ¹²⁾ — przetłumaczył Fafuła skwapliwie i okrutnie się napuszył. — Ha, jeśli ci się tym sposobem przydać mogę!... No, co to za sekret?

— Znasz Benysia Szelfa? ¹³⁾ — spytał starszy chłopiec.

— A jakżeby inaczej? Tego urwipolcia, tego stracha na wróble, który flądry na targ rybny zwozi? Toż to rybak, jak i jego stary.

— Ej, miły bracie, — pouczył Hewelek — okazując despekt ich kondycji, błędzisz srodze. Wiem, że jeść rybki lubisz, a same bez rybaka nie wpadłyby ci do gąbki, nie wziąłbyś ich na hak samą łaciną. Bardzo użyteczny to zawód, a Szelfowie — zawołane rybaki. Nie w tem rzecz wszelako. Benyś mi się zwierzył, że na Mewiej Rewie co trzecią noc upiorne światło się pokazuje. Oni ze starym, widząc to światło, pietrają się okrutnie. Boją się topielców. To wedle nich jest złe miejsce.

Fafuła przeżegnał się pośpiesznie.

— Z nami siła niebieska — wymamrotał, co widząc Hewelek wybuchnął szczerym śmiechem. — Ha! ha! ha! — śmiał się. — Ot, chluba infimy, pupilek Dominus Jacobus'a ¹⁴⁾, a zabobonyś jak człek zgoła ciemny. Na co łacina ci się zdała? Co trzeci dzień światło się pokazuje, toć ci mówię!

— To co? — spytał Grześ, wytrzeszczywszy na kolegę swe wyłupiaste oczy krótkowidza.

— Słuchaj, asinus asinorum! — przekładał Hewelek. — Gdyby to były

⁷⁾ Szkoła.

⁸⁾ Osioł nad osłami.

⁹⁾ Przyrząd żeglarski.

¹⁰⁾ Przyrząd żeglarski.

¹¹⁾ Mówię po łacinie.

¹²⁾ Konieczny warunek.

¹³⁾ Szelf Benedykt — marynarz polski, rodem Kaszuba, postać historyczna. Odznaczył się w bitwie pod Oliwą, zdobywając banderę nieprzyjacielską.

¹⁴⁾ Profesora Jakóba.



duchy, to przychodziłyby tak rychtyg, co trzy dni, jak wymierzył, he?

— Kto je tam wie — zamrugął bezbarwnymi rzęsami Grześ Fafuła.

— Ale ja wiem, że nie — z całą pewnością oświadczył Hewelek. — To są szwedzkie szpiegi. Ot, co jest.

Fafuła milczał.

— No, cóżeś wody do gęby nabrał, czy co?

Nie było odpowiedzi.

— Regularnie, co trzecią noc, jak w kalendarzu — powtórzył Hewelek. — Chyba, że wypadnie bardzo zła pogoda, kiedy mały statek na morzu się nie utrzyma.

— W tem coś jest — bąknął Fafuła.

— Sam widzisz! Juści, że zbadać to niełatwo, że na to trzeba bardzo mężnego serca. Bo się tam wodzą nie upiory,

a Szwedzi, którzy, ułapiwszy, gotowi ze skóry obłupić, a i po nocy się tłuc wypadnie, kiedy lęk najodważniejszych przejmuje...

— Nie? — stropił się Grześ.

— No, Fafuła — podjął rzeczowo Hewelek — widzę, że febris¹⁵⁾ ze strachu cię trzęsie i rozum ci mięsza. Kiedy to światła się pała? Chyba nie w dzień, a w nocy. I jakże to kogo w dzień na morzu zaskoczyć? Toć jasno i kręgiem widać jako na patelni. No, ruszasz z nami?

— Hm. Z nami? Niby z kim?

— Ano, ze mną i z Szelfami, Benysiem i jego starym.

— Toć oni się upiorów boją.

— Boją się, ba! — mruknął młody Hewel — ale zato dostaną przygarść dukatów z moich oszczędności, a dla rybaków to majątek. A ty się boisz?

— Ja! Ja bać się! — zawołał Grześ zadzierżyscie. — To się po Fafule nie pokaże!

— Jutro, skoro świt, Szelfowie wyruszą na zielęta¹⁶⁾. My z nimi.

— Już jutro? — Fafuła zdał się zaskoczony.

— A co?

— Nic.

— Bo to, widzisz Grześ, dla Rzeczypospolitej byłaby wielka przysługa.

— Gdyby tak chycić szpiega! — zawołał z zapalem Fafuła, którego, jak bywa u nieśmiałych, którzy nie są jednak tchórzami, porwał animusz wojenny.

— A najważniejsze — rzucił na odchodnym Hewelek — nikomu ani mru-mru.

— To się rozumie.

¹⁵⁾ Gorączka.

¹⁶⁾ Zieląt — foka po kaszubsku.

Ciekawi jesteście, jak się udała wyprawa Grzesia i Hewelka? To przeczytajcie sobie książeczkę „Był bój pod Oliwą”, którą napisał pan Jerzy Bohdan Rychliński. Dowiedzie się stamtąd jeszcze wielu ciekawych rzeczy: jak

w dawnych czasach Polacy walczyli ze Szwedami, jak wtedy wyglądały okręty, jak żyli ludzie, których już dawno nie ma, ale którzy wiernie służyli Ojczyźnie na morzu i lądzie.

FRANEK NA SZEROKIM ŚWIECIE

Franek, mały Kaszuba, to nie było taki marynarz. Urodził się nad brzegiem Bałtyku w niewielkiej chacie rybackiej. Ojciec Franka niejednokrotnie zabierał syna łodzią żaglową nawet na dość dalekie wyprawy. Gdy Franek ukończył lat dwanaście, przyjechał do jego rodziców na święta Wielkanocy 1923 r. brat matki, żaglomistrz ¹⁾ Leszczyński.

— Ano, — rzekł raz do ojca — Franek jest już dzielny i silnym chłopcem. Na naszym statku szkolnym brak kuchcika. Za miesiąc odpływamy do Brazylii. Oddajcie mi syna na praktykę. Nauczy się wiele. Zobaczy kawał świata, otrzaska z morzem.

Stary rybak pyknął z fajeczki i spojrzał zukosa na szwagra.

— A nie zmarnujecie syna?

— Mościewy! — zaśmiał się Leszczyński — a toć i o moją chodziłoby skórę; już tam oddacie go w pewne ręce, a nasz kapitan to go wymusztruje — zobaczycie!

Ojciec się zamyślił...

— Może i macie rację — rzekł wkońcu — Franek, a chodźno tu!

Wysunął się więc Franek, chcąc nie chcąc, spoza kufra matczynego, czerwony jak burak, bo z ogromną ciekawością słuchał, co mówią starsi.

— Jestem, ojczu!

— Pojedziesz jutro z wujem do Gdańska na „Lwów” — mruknął ojciec, i czegoś markotny napełniał fajeczkę świeżym tytoniem.

Tak zapadło postanowienie ojca, a choć na następny dzień matka się popłakała, i Franek pochlipał troszeczkę, to jednak nic się zmienić nie mogło.

Ojciec wyporządził swój kuter ²⁾ rybacki i odwiózł syna ze szwagrem do Gdańska.

Już słońeczko rzucało skośne pro-



mienie spoza katedry gdańskiej, i na zegarze ratuszowym wybiła dawno siódma wieczór, gdy ojciec, wuj Leszczyński i Franek podpływali do burty ³⁾ „Lwowa”.

Wuj wraz z Frankiem zameldowali się kapitanowi. Ten, z cygarem w ustach stał na rufie ⁴⁾ i rozmawiał z pierwszym oficerem. Gdy ujrzął Leszczyńskiego, uśmiechnął się:

— A, żaglomistrz! jak się macie. Cóż, znaleźliście jakiego kuchcika?

— Znalazłem, panie kapitanie, mój siostrzeniec!

Franek nieśmiało wysunął się na przód.

— Co, ten malec? — zdziwił się kapitan, — ale to szkrab ⁵⁾ jeszcze.

— Tak jest, panie kapitanie, ale starczy za paru starszych, chwacki chłopak.

¹⁾ Żaglomistrz — majster żeglarski, znajdujący się na wielu statkach żaglowych.

²⁾ Kuter — łódź z pokładem i odpowiednim uzagleniem.

³⁾ Burt — bok statku.

⁴⁾ Rufa — tył statku — tylny pokład.

⁵⁾ Szkrab — szkrabami nazywają żartobliwie marynarze małe dzieci.

— No, skoro tak twierdzicie, niech będzie. Oddajcie go Słowikowskiemu.

Słowikowski, główny kucharz „Lwo-wa”, stary wyjadacz, co to zmierzył już szeroki świat wzdłuż i wszerz, zawija-jąc do przeróżnych portów Azji, Afry-ki, Ameryki, nawet Australji, był ty-pem zgoła niezwykłym. Fantazję miał niewyczerpaną. Toteż co wieczór, po ciężkiej pracy załoga zbierała się w cze-ladni ⁶⁾, a stary kucharz opowiadał o swych podróżach i koloryzował opo-wieści. Teraz, siedząc na progu kuchni okrętowej, uściśnął dłoń żaglomistrza, spojrzał na Franka i wykrzyknął:

— A cóż to za malec?

— To wasz nowy kuchcik!

— Mój kuchcik? Ależ to maleń-stwo!

— Maleństwo? Zaraz ujrzycie. Fra-nek!

— Słucham!

— Migiem marsz na wielką reję ⁷⁾!

⁶⁾ Czeladnia, kubryk — wielka kajuta za-łogi.

⁷⁾ Reja — drąg poprzeczny na maszcie.

Franek zebrał się w sobie. Skoczył na wanty ⁸⁾ i jak mała małpka wdrapał się wgórę, poczem, rozweselony taką próbą, huknął zgóry:

— A kuku!

— Zuch chłopak, — uśmiechnął się kucharz, — „Staremu” (kapitanowi) przypadnie do gustu!

Tymczasem Franek z wysokości dzie-sięciu metrów rozglądał się z ciekawo-ścią wokoło. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały malowniczo szeroko rozłożone, pogięte dachy do-mów, strzeliste wieże i cienkie kominy. Fioletowe dymy snuły się leniwie nad tem rojowiskiem ludzkim. Wody Wisły złościły się silnie, a daleko na północ widać było niebieski pas morza. Dzwon okrętowy cztery razy po dwa wybił go-dzinę ósmą.

Słowikowski zakrzyknął wgórę:

— Ano, mały, do roboty, wieczera się zbliża.

⁸⁾ Wanty — stalowe liny podtrzymujące maszt, połączone poprzecznymi linkami, przez co tworzą jakby drabinę.

O dalszych losach Franka i jego roz-licznych przygodach dowiecie się

z książki pana Bohdana Pawłowicza: „Franek na szerokim świecie”.

PRZECZYTAJCIE SOBIE TE KSIĄŻKI



OPOWIEŚCI PRZYRODNICZE

Podobno najpiękniejsze książki — to książki o zwierzętach.

Może to i prawda. Każdy może napisać o lokomotywie i samolocie, ale o zwierzętach nie każdy. Kto pisze o nich, ten je zna od maleńkiego, ten widział, jak rosły, jak stawały się przyjaciółmi człowieka. A żadna maszyna nie będzie takim przyjacielem człowieka, jak żywa istota. I żadna maszyna nie da się od maleństwa karmić, pieścić, zabawiać — bo maszyna nie rośnie.

Ze zwierząt najmilsze są wszystkie rodzaje psów i kotów. Psy — bo mądre i wierne. Koty, bo wesołe i czyściutkie nad podziw. A jeszcze duże koty-drapieżce! Ho, ho!

Indje mają swoje tygrysy, Afryka — lamparty, Ameryka — jaguary i pumy. A nasz polski drapieżny kot — to ryś. Groźne to i piękne zwierzę. A jeżeli nie groźne, oswojone — tem jest piękniejsze.

Prawdziwą historję o ryśiach z puszczy białowieskiej, które możecie oglądać w warszawskim ogrodzie zoologicznym, zawiera śliczna książka pani A. Zabińskiej: „JAK BIAŁOWIESKIE RYSICE ZOSTAŁY WARSZAWIANKAMI”.

Spora to książeczka, a czyta się ją

jednym tchem i wkońcu żal się robi, że to tak mało. A tyle treści! I życie małych ryśiątek w dzikim zakątku puszczy, ich pierwsze dni, ich zabawy i kłopoty — wreszcie porwanie przez człowieka.

Nie, nie można tego opowiedzieć. Sami przeczytacie, jak karmiono maleństwa smoczką na butelce, jak oswajały się one z widokiem ludzi, lwów, fok i wyder. Jakie miały przyjaciółki, jakie zabawy i jak uczyły ludzi sportu.

Sam się dużo z tej książki nauczyłem. Czytałem ją dzisiaj, a już jutro z samego rana pójdę zobaczyć bohaterki powieści w Zoo warszawskim. Kto książkę przeczyta, napewno uczyni to samo. Warto nawet przyjechać do Warszawy, aby za jednym zamachem kupić książkę w „Naszej Księgarni” i zobaczyć eleganterki w ich zimowym, szarym stroju. A kto nie będzie mógł przyjechać, zobaczy kilka fotografii ryśi w książce.

W tej samej serji opowieści przyrodniczych „Nasza Księgarnia” wydała jeszcze dwie piękne książeczki: Bohdana Dyakowskiego: „SĄD NAD ŻABAMI” i Heleny Grotowskiej: „MECHANIK JUR”.



CZY ZNACIE JUŻ TE KSIĄŻKI?



POCZYTAJMY SOBIE

Jeśli w Waszej szkole jest spółdzielnia uczniowska, zarząd jej powinien stale czytać „MŁODEGO SPÓŁDZIELCĘ”. Z tego czasopisma dowie się, jak najlepiej prowadzić spółdzielnię, abv

uczniowie mieli dużo korzyści i zadowolenia. „Młodego Spółdzielcę” wydaje „Społem”, Związek Spółdzielni Spożywców R. P. w Warszawie, ul. Grażyńskiego 13.



We wtorek, 10 marca od godz. 12 min. 30 młodsze dzieci usłyszą opowiadanie p. t. „Koledzy Samowara”. Pan Benedykt Hertz opowie ciekawe przygody ze swego uczniowskiego życia, kiedy to koledzy przeżywali go „Samowarem”. Poznacie także różne typy kolegów, ich życie w szkole i nazwy, jakie sobie nadawali.

We środę, 11 marca od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 radjo nada audycję dla starszych dzieci z cyklu: „Wędrówki dokoła globu” pod tytułem: „Za chińskim murem”. Słuchowisko przeniesie miłych słuchaczy aż do Chin i zaznajomi z tym krajem.

Dotychczas we czwartek każdego tygodnia Stary Doktor opowiadał młodszym i starszym dzieciom ciekawe hi-

storyjki. Ponieważ Pan Doktor czuje się zmęczony, pragnie odpocząć i dlatego chwilowo przerywa swoje opowiadania.

Więc we czwartek, 12 marca od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 oczekuje Was opowiadanie p. Janiny Porazińskiej p. t. „Gregorjanki”. Jest to nazwa zwyczajów i obrzędów z życia żaków, dzięki którym niejeden zwyczaj w Polsce do dziś dnia się zachował. Usłyszycie też o żakowskich figlach i psotach, gdyż żaki był to ludek wesoły i zawsze do żartów skory. Za patrona mieli świętego Grzegorza i od niego pochodzi nazwa „Gregorjanki”.

W piątek, 13 marca od godz. 12 min. 15 do g. 12 m. 40 będzie słuchowisko dla szkół p. t.: „Przygody gwiazdki śniegu” pióra p. Ewy Zarembiny. Do-

wiecie się, co gwiazdeczka śnieżna widziała podczas swojej długiej podróży, unosząc się nad łądami i morzami.

Za parę tygodni radio opowie Wam przygody tej samej gwiazdki, w jaki sposób została ona kropelką wody.

Tegoż dnia od godz. 16 min. 40 do godz. 17.00 posłuchajcie opowiadania p. t.: „Puma — przyjaciel człowieka”. Napewno zainteresują Was różne przygody wędrownika, które zwiedził puszczę i prerję, przebywając pieszko znaczne odległości.

W sobotę, 14 marca od godz. 16

min. 15 do godz. 16 min. 45 fala lwowska przyniesie „Wesołą audycję”, w której wystąpią Wasi ulubieńcy: Szczepcio i Tońcio.

W niedzielę, 15 marca od godz. 16.00 do g. 16 min. 15 wesoły Wujaszek radjowy podyktuje nowe „łamigłówki”, za rozwiązanie których można otrzymać w nagrodę ładną książeczkę.

W poniedziałek, 16 marca od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 młodsze dzieci usłyszą piękną bajkę, która ma tytuł: „O białoniu-śniegoniu”.



Kochani!

Już mam trzy teczki napelnione Waszemi pracami.

W jednej są wiersze, w drugiej powiastki, opowiadania i sprawozdania, a w trzeciej zagadki, rebusy, żarciki i rysunki.

Dziękuję am, że na moje wezwanie licznie nadesłaliście różne wypracowania. Z braku miejsca w pisemku, trudno wyliczyć mi nazwiska wszystkich czytelników, którzy przysłali swoje prace. Wyjaśniam także, iż nie mogę teraz dawać odpowiedzi na zapytania: czy nadsyłane utwory będą wydrukowane w „Płomyku”.

Numer, który wydamy z Waszemi pracami, odpowie na te pytania. Czy pamiętacie, że tylko najlepsze utwory zostaną wydrukowane w pisemku?...

Trochę cierpliwości, niedługo ukaże się Wasz „Płomyk”.

Ponieważ często prosicie o adresy szkół polskich zagranicą, podajemy szereg adresów.

Ameryka — 1) Collegio M. Copernico, Marechal, Mollet, Caix postal 36, Parana — Brazil.

2) Consolado da Polonia, Parana Curityba, Rua 13 de ajo 63. Brazil.

3) S. S. Najświętszej Rodziny 2209 18—th St. Chicago III, U. S. A.

Chiny — 1) Gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie.

2) Przez yberję, Mandżurja — Manchuti-go, Charbin, 5 Gluha-strect, „Gospoda Polska”. Dla Dzieci Szkoły im. d-ra Łazowskiego.

Francja — 1) La Ricamarie, Montreal (Loire), L'école polonaise, France.

2) Zakład Św. Kazimierza, Etablissement Polonais, 119 rue Chevaleret, Paris XIII, France.

3) Maison de filles de la Charité, Oignier, Cité de la Chapelle, P. de C. France.

4) L'école de filles, Ostricourt, Oignies, Pas de Calais, France.

Belgia — École Polonaise K. O. K. S., Winterslat, Belgique.

Niemcy — Redakcja „Małego Polaka w Niemczech”, Berlin, NW7, Do-
rotheenstr. 47. I.

Łotwa — IV Pamestkolo, Latvija,
Riga, Samarina iela 2.

Turecja — Légation de Pologne, Con-
stantinople Turquie.

Estonja — Légation de Pologne,
Domerg, Tallin.

Rumunja—1) Cernauti, str. General
Mircescu, no. 11, Szkoła, Romania.

2) Polska Macierz Szkolna, Rani-
ków n/Czarną. Rumunja.



Stefan był zawsze bardzo inteli-
gentny i zdolny, od początku uczył
się chętnie, ale obecnie czynił ogro-
mne postępy, zwłaszcza w rosyj-
skim pisaniu, aby móc jaknajprę-
dziej samemu pisywać listy do ojca.
Rychło doszedł do tego, że mógł
swobodnie opisywać wszystko, co ro-
bi i co się w Kalince dzieje. Sam
z własnego natchnienia nie pisał nic
smutnego, rozumiał, że życie ojca
tam w katordze i tak jest bardzo
ciężkie, niechże więc chociaż te li-
sty od swoich będą mu pociechą.
Pisywał je codzień po kawałku, aby
o niczem nie zapomnieć i jak naj-
staranniej ułożyć i wykaligrafować.
To było jego najulubieńsze zajęcie,
ożywiał się przy niem i odzyskiwał
dawną ruchliwość i wesołość.

Wtem coś w czwartym roku po
zesłaniu ojca listy od niego przesta-
ły przychodzić. Mijały tygodnie
i miesiące, mama pisała i telegrafo-
wała do zarządu więzienia. Napisała
nawet do krewnego ojca, aby się po-
starał zasięgnąć wiadomości w urzę-
dach warszawskich. Wszystko na-
próżno. Stefan znowu wolne chwile
spędzał przy oknie, tylko teraz nie

czekał na przyjaciela z pomarańcza-
mi, czekał na wiadomość od ojca.

Pewnego dnia przed dworek za-
jechał pan w mundurowej czap-
i szynelu. Stefan wypadł na jego
spotkanie.

— Ojciec, co z ojcem? — pytał
i machał rękoma, żeby prędzej, prę-
dziej, żeby coś nareszcie wiedzieć.

— Ty syn? — zapytał pan z ro-
syjskim akcentem, popatrzył na
chłopca i pokiwał głową. — A gdzie
matka?

Matka już właśnie szła od podwó-
rza, gdzie coraz częściej musiała wy-
ręczać starzejącego się dziadka.

Pan skłonił się jej uprzejmie
i prosił o rozmowę na osobności,
przyczem wskazał oczyma na Ste-
fana.

— Idź do Władysia, — rozkazała
mama i poprosiła gościa do bawial-
ki, która leżała za pokojem dziadka.

Stefan oparł się o ścianę w sieni
tuż przy drzwiach od tego pokoju
i nadśluchiwał. Przez zamknięte po-
dwójne drzwi dochodził go stłumio-
ny głos pana, potem jakgdyby krzyk
matki i jej podniesiony głos, który
o coś pytał, o coś naglił. Obcy znów

mówił, mama szlochała, Stefan płakał także, sam nawet nie wiedział o tem, że mu łzy płyną po twarzy.

Minęła godzina zanim mama z obcym wyszli do sieni. Stefan zasunął się w kąt pod burkę dziadka.

— Ja nie wiem, jak ja to powiem chłopcu, — mówiła matka z rozpaczą. — Po aresztowaniu ojca dostał zapalenia mózgu.

— Niech pani najprzód powie, że chory, a potem potrochu coraz więcej, więcej, aż do końca.

— Pan jest pewien, że niema żadnej nadziei?

— Piszą, że zapuszczali sieci, że jezioro w tem miejscu niebardzo głębokie. A zresztą tyle miesięcy, gdyby żył, to jużby go gdzieś znaleźli.

— Mamo, co się stało? — szepnął Stefan, wysuwając się z kąta.

— Ach, Boże, Boże! On słyszał! — przestraszyła się mama.

— Ale on przecież jest mężczyzną. On powinien teraz zaopiekować się matką, kiedy ojca zabrakło, —

starał się obcy pobudzić w nim ambicję.

— Co się stało z ojcem? — naglił chłopiec.

— Ot, nieszczęście: przewozili go do innego więzienia koleją, rzeką, potem jeziorem. Na przystani, gdy wysiadał ze statku, potknął się na kładce i wpadł do wody, a miał kajdany na nogach, pociągnęły na dno i ot, koniec. Szukali, sieci zapuszczali, nic nie znaleźli. Ale ty, chłopcze, ostro się trzymaj. Ty wszak mężczyzna.

Coś jeszcze mówił śpiewnie z rosyjska, próbował go uspakajać, Stefan już nie słuchał, uciekł do ogrodu, wtulił się w krzaki, płakał długo, długo, ale nie zachorował, tylko znów stał się milczący i ponury.

Mama nie mogła go pocieszać, bo sprawdziła się przepowiednia dziadka i chociaż nie z przeciągu, jak przypuszczał, ale jednak staruszek został tknięty paraliżem. Na mamę spadł ciężar ponad siły: musiała



gospodarować, mimo, że niebardzo się na tem znała, opiekować niedo-
łężnym ojcem i uczyć Stefana. Wła-
dys najmniej kosztował ją trudu,
bo od przyjazdu na wieś zaczął wy-
rastać na zdrowego chłopca, a grze-
czny i cichy był zawsze. Zato Stefan
stawał się z każdym dniem gorszy:
wstrząśnięty uwięzieniem, a potem
śmiercią ojca, pieszczony nadmier-
nie przez doktora Kazia, a potem
prześladowany przez dziadka, stracił
zupełnie równowagę duchową. Nie
umiał rozsądnie patrzeć na życie,
nie pojmował, że przecież i mamę
spotkało wielkie nieszczęście, po-
większone jeszcze troską o byt ma-
terjalny całej rodziny i pracą nad
siły, że i jej należały się względy i ją
trzeba było oszczędzać i wyrozu-
mieć, gdy udręczona traciła czasem
cierpliwość. Jemu się wydawało, że
tak, jak kiedyś doktor Kazio, tak
teraz ona powinna nieszczęśliwemu
synowi poświęcić wszystkie wolne
chwile, łagodzić jego ból dogadza-
niem i pieszczotami. Czynił ją odpo-
wiedzialną za poprzednie kaprysy
dziadka, a teraz za jego niedołęstwo,
bełkoty i stękania, któremi napeł-
niał dom i zajmował jej czas, bo
przecież była jego córką i kazała
synkom starać się o jego względy.
Zamiast stanąć przy matce w tych
ciężkich dniach, zamiast być jej po-
mocą i pociechą, Stefan w dziecin-
nem zaślepieniu buntował się prze-
ciwko niej i prowadził z nią walkę
na każdym kroku. Matka spoczątku
nie zdawała sobie z tego sprawy
w zamieszaniu spowodowanem cho-
robą dziadka; w kilka tygodni po
pierwszym ataku paraliżu przyszedł
drugi, tym razem śmiertelny. Dzia-
dek spoczął na cmentarzu w Kalinie

Murowanej obok żony, mama obło-
żyła jego grób darnią i zasiała na
nim kwiaty. Ściany dworku dała wy-
bielić, wyszorować podłogi, wymyć
okna, ustawiła w nim wszystko po
swojemu, składnie i ładnie. Ułożyła
plan zajęć dnia od wczesnego ranka
do późnej nocy, w którym musiała
znaleźć czas i na gospodarstwo i na
prowadzenie domu, i na naukę Ste-
fana, i na reparację odzieży. Wie-
działa, że pracy będzie miała wiele,
bardzo wiele, ale myślała, że jakoś
życie pójdzie im teraz równiej, spo-
kojniej. Tymczasem nieprawda, co
krok potykała się o złą wolę Ste-
fana.

— Stefan, — wołała, — co się
z tobą dzieje, co ty wyprawiasz?
Taki nigdy nie byłeś. Opamiętaj się!

A Stefan schylał nisko głowę, jak-
by się gotował do uderzenia rogami
i robił naprzekór.

Codzień o siódmej rano mama
otwierała okiennicę w pokoju chłop-
ców i wołała:

— Wstawać, wstawać, chłopcy!

Wtedy Władysław chlup bosemi stop-
kami na podłogę i w długiej koszu-
lince, z rozwartymi ramionkami,
biegł do mamy, szczebiocząc jak
ptaszek:

— Mamuleńka, kochanieńka, je-
dynieńka!

Taki malutki, chudziutki, śmie-
szniutki, a ona chwyciła go i unosi-
ła w górę, jak niegdyś ojciec Stefana,
tuliła do piersi mocno i wołała:

— A sio, do łóżka, bo zimno!

Rzucała go na łóżeczko, naciągała
mu kołderkę aż na głowę. On się
wrywał, skopywał kołderkę nóżka-
mi, ona go znów nakrywała i tak się
mocowali ze śmiechem i krzykami.

d. c. n.

Br. Włodkówna

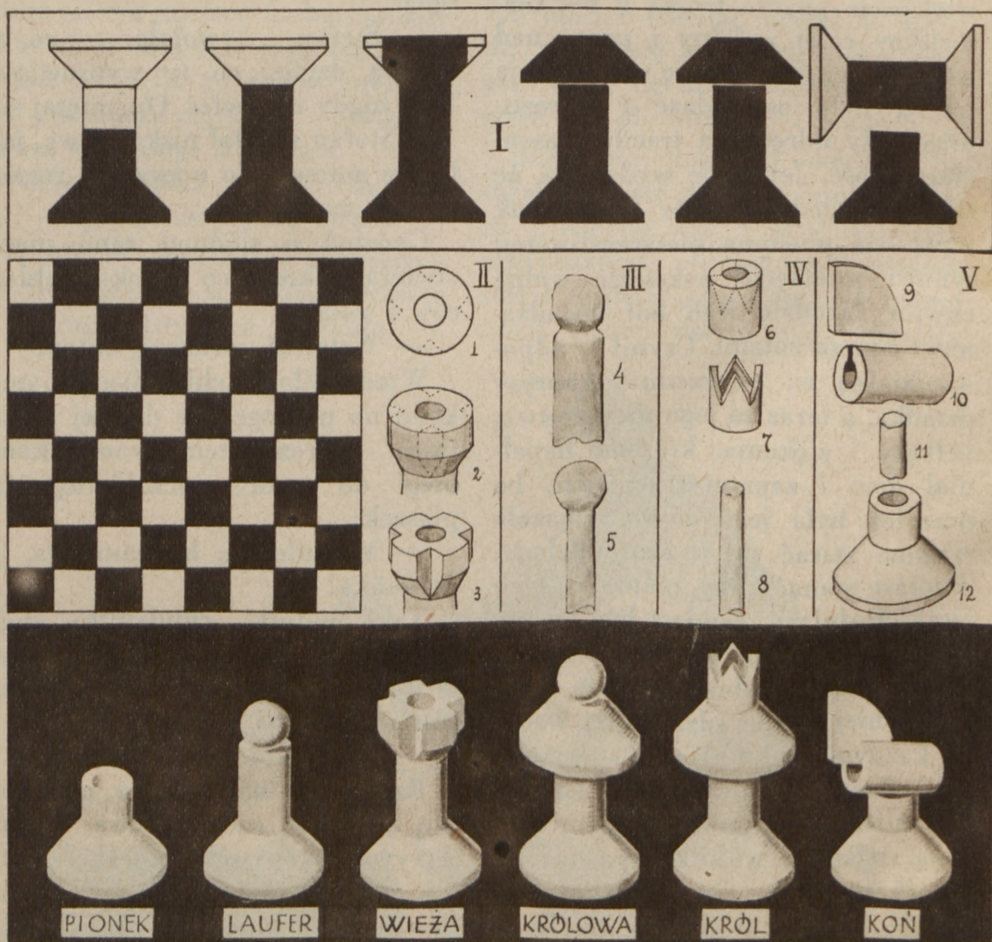
ROBIMY SAMI

SZACHY ZE SZPULEK OD NICI

Ze szpułek od nici zrobimy szachy. Do całego kompletu uzbieramy 27 szpułek. Pionki otrzymujemy przez przekrojenie szpulki napół, to znaczy z jednej szpulki będą 2 pionki. Jaka część szpulki i w jaki sposób ma być ścięta do każdej figury, podano na rysunku 1, gdzie części potrzebne do danej figury są zaznaczone. Na rys. II (1, 2) pokazano, jak naciąć głowicę wieży; a więc ostrym nożykiem robimy wycięcia (rys. 3). Główkę królowej i laufra wycinamy z patyczka (rys. III, 4, 5). Taki patyczek łączy przytem górną część figury z dolną. Koronę króla wykonamy z szyj-

ki szpulki (rys. IV, 6), wycinając zażębienia jak na rys. 7; patyczek złączy trzy części figury. Na rys. V pokazane części, z których wykonamy konia: ćwierćkole z płaskiej deseczki (9) umieszczamy w wycięciu szyjki szpulki (10), tułów (10) łączymy z podstawą (12) zapomocą patyczka (11). Komplet „czarnych” pomalujemy na czarny lub jakiś inny kolor. Pola szachownicy muszą być trochę większe, niż średnica szpulki. Części składowe figurek szachowych sklejać można klejem stolarskim.

Z. Kaczmarczyk

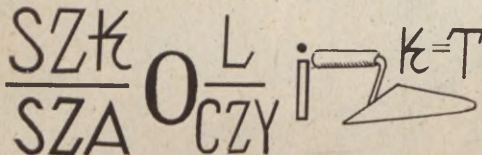


NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Złote, jak miód,
lepkie, jak miód.
Rośnie sobie na chojaku
i słodkiego nie ma smaku.

ZAGADKA 2

(nad. *Helenka Kacprzakówna*)
Do drzwi wchodzi najprędszy,
a prawie nigdy do wnętrza.

ZAGADKA 3

Na tyce grzebień
po ziemi grzebie.

ZAGADKA 4

Podobny do raka,
lecz nie żyje w wodzie.
Także jest czerwony
i rośnie w ogrodzie.

SZARADA 1

Płynie rzeka, płynie,
po włoskiej krainie,
a polski przyimek
to jej całe imię.

SZARADA 2

Pierwsza — zaczyna zdanie pytające,
druga — zaimek żeński wskazujący,
trzecia — przeczenie,
a razem, kochanie —
coś, co jest miłe
dla ciebie i dla mnie.
Bo nie żał nad tem
trochę czasu strawić,
co jednocześnie i uczy i bawi.

JAKI ZAWÓD MAJĄ CI LUDZIE?

ROMAN IZI

GRZ. TYSA

MYSI SZA

Z. KAIN SMAK

DR. O. CZOA

ROZWIĄZANIA Z N-RU 25:

Rebus 1 — w Rosji zimą wielkie mrozy, 2 — w Kijowie złota brama.
Zagadka 1 — Bajkał, 2 — Białe i Czarne Morze, 3 — kozak, 4 — Moskwa
Szarada 1 — Kreml, 2 — Leningrad.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

